№ 15. Warszawa, dnia 12-go Kwietnia 1908-go roku. Rok XLIV

BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80; półrocznie rub. 3 kop 60; rocz. nie rubli 7 kop. 20.
Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50.
Cena numeru pojedyńczego kop. 20.

Wychodzi pod kierunkiem literackim
Zofii Seidlerowej.
Ekspedycya główna: ulica Nowy Swiat, 41.
Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Bluszczu“ po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie złr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cent. 50.
W Krakowie u D. E. Friedleina; kwartalnie złr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem dla abonentów „Dziennika Poznańskiego.“ w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk.; z przesyłką pocztową 4,30 mk.

Celem uniknięcia zwłoki w przesyłaniu naszego pisma, upraszamy Szan. Prenumeratorki o wczesne wnoszenie przedpłaty na kwartał bieżący.

Instytucye i stowarzyszenia ostatniej doby.

Jeżeli historya, która podobno sądzi bezstronnie, poświęci chwilę specyalnej uwagi dziejom społecznym lat ostatnich u nas, to musi je ocenić korzystnie, musi oddać sprawiedliwość zasłudze tych członków społeczeństwa, którzy na tle chaosu, walk i odmętu lat ostatnich, usiłowali pracować normalnie dla dziś i jutra, usiłowali zło istniejące tępić przyszłemu zapobiegać i wśród spadających, na głowę gruzów budować.

A ludzi tych musiało być dużo, i ożywionych wielką miłością, wielką pracą i ufnością w swoje siły — gdyż wyrazy ich przekonań, rezultaty ich usiłowań, powstały już bardzo licznie i trwają—i obok dawniejszych formują się ciągle nowe.

Rezultatami temi są stowarzyszenia i instytucye społeczne.

Z pierwszą chwilą możności zakładania w Królestwie stowarzyszeń, powstala ich ilość imponująca. W przeciągu roku założono trzy instytucye oświatowe na szeroką skalę: Macierz, Towarzystwo Kultury Polskiej i Kursy dla analfabetów, dwie z nich utworzyły przy sobie Uniwersytety, których zadaniem było dać możność najszerszym masom korzystania z pewnego całokształtu wiedzy ogólnej, podanej w najpopularniejszych formach i najprzystępniejszych warunkach. Obok tych powstało Towarzystwo Opieki nad dziećmi, instytucya pomyślana nader mądrze i praktycznie, mogąca istotnie rozciągnąć opiekę nad każdym domem w mieście, i dająca możność czynnego współdziałania i materyalnej pomocy wszystkim, i nawet najmniej zamożnym ludziom. Powstały Towarzystwa badań nad dziećmi i wychowania przedszkolnego, ukonstytuowane przez najpierwszych pedagogów, lekarzy i przyrodników, stawiające sobie za cel badanie postępów psychologii i pedagogiki i zastosowanie ich do warunków i potrzeb naszej młodzieży i dzieci. Obok tychże powstają stowarzyszenia nauczycielstwa polskiego i polski związek nauczycielski z celem podniesienia poziomu wykształcenia zawodowego pedagogów i pomocy w trudnych dla nich warunkach materyalnych. Gdy rewolucya z jednej, bandytyzm z drugiej strony zapełniały więzienia, założono Towarzystwo Opieki nad dziećmi więźniów i gniazdo ratowania dzieci od prostytucyi. Powstały też szeregi towarzystw społecznych i zawodowych, jak: Koło ziemianek, kolonje letnie dla kobiet, Związek buchalterów i pracowników bankowych, Dźwignia, Towarzystwo kobiet pracujących w handlu, przemyśle i biurowości, Towarzystwo kooperatystów, Towarzystwo czytelni i biblioteki m. Warszawy, Związek pracownic igły, Stowarzyszenie kupców polskich, dwa stowarzyszenia równouprawnienia, dwa stowarzyszenia lekarskie, Związek młodzieży i Stowarzyszenie umysłowo pracujących Polek. Ruch abstynencki i abolicyonistyczny znalazł też przedstawicielstwo w swych stowarzyszeniach, nawet sztuka, zwykle w podobnych chwilach zaniedbana, nie została pominięta — założono polskie Towarzystwo dramatyczne i sympatyczny związek młodzieży muzycznej, formowały się Towarzystwa sportowe, popierania fizycznego rozwoju, koedukacyi, i t. p., i t. p. Wiele z pośród tych stowarzyszeń miało swe własne pisma. Oprócz tych najnowszych, dawniejsze rozszerzaiy i rozwijały z wielką energią swą działalność, a za Warszawą szła prowincya, zakładając bądź stowarzyszenia własne, bądź też filje autonomiczne towarzystw, już w Warszawie istniejących.

Jeżeli rozważymy ogromną anarchję społeczną i klęski ekonomiczne lat ostatnich, wyjątkowe położenie nasze polityczne, ciosy spadające z zewnątrz, takie jak wywłaszczanie np. musimy dojść do wniosku że jednak naród, który w takich warunkach umiał, mógł i chciał tworzyć instytucye dobra publicznego i pracować dla społeczeństwa w stowarzyszeniach i myśleć o lepszej przyszłości dla drugich — taki naród zasługuje na szacunek i ma przed sobą przyszłość lepszą bo jej wart, bo sobie ją wypracuje.

Dwa lata upływa od początków istnienia najwcześniej założonych stowarzyszeń, czas za krótki do wydania stanowczego sądu o ich działalności, dostateczny jednak dla nabycia pewnej praktyki i wyprowadzenia pewnych wniosków, to też wnioski te, w towarzystwie krytyki, mniej lub więcej uprawnionej, słyszymy często wokoło, odbiły się one i w prasie i na zebraniach i niestety, wielokrotnie w stowarzyszeniach samych.

Śmiało powiedzieć można, iż większość instytucyi powołanych u nas do życia, działa i rozwija się normalnie, kilkanaście z nich idzie z dużym rozmachem społecznym, imponuje młodocianą i żywotną siłą. Wieczór po wieczorze zajmują pogadanki, odczyty, posiedzenia, wzbogacają się biblioteki, tworzą się nowe sekcye i komisye, zwiększa się liczba członków, pogłębia się i rozwija wśród nich myśl społeczna, wykształcenie polityczne i zawodowe, poczucie solidarności i zamiłowanie do pracy dla instytucyi.

Z drugiej strony naturalną jest rzeczą, iż nie mogą *wszystkie* stowarzyszenia iść tym samym trybem, muszą znaleźć się i takie w których życie jest ospalsze, czy to z przyczyn mniej żywotnej ich racyonalności i potrzeby — czy też pewnego ich ustroju i charakteru, czy to zarządu, czy ogółu członków.

Nie stanowi to jednak racyi, aby instytucye te lekceważyć, lub potępiać zasadniczo — taka krytyka — odbija się, jak to już wyżej

zaznaczono, najczęściej na stowarzyszeniu bardzo ujemnie, zniechęca członków nowych do przystępowania do stowarzyszenia, a dawnych usprawiedliwia z obojętności.

Gdy po długim śnie społecznym, zbudziliśmy się do życia — chcieliśmy zrobić odrazu dużo, powetować wszystko, wszystko stworzyć i odnowić, a przystępowaliśmy do tej pracy z wyolbrzymionym, gorączkowym zapałem, który w tym stopniu napięcia trwać nie mógł wiecznie, ani nawet długo. To też niejeden, po ochłonięciu z tego pierwszego ognia, przekonał się, że pracować może w pięciu instytucyach, a nie w dziesięciu — że poświęcać tej pracy nie może całego swego czasu, lecz pewne tylko godziny, lub pewne dni w tygodniu, że wreszcie z szeregu towarzystw, które narazie bez wyjątku wydawały się równie pilne, dobre i potrzebne, wyłoniło się kilka, specyalnie dlań sympatycznych, i z jego pojęciami, i interesami społecznymi związanych, i w tych najmilej mu pracować. — I dlatego też pewnym stowarzyszeniom członków przybyło, a inne pozostały na miejscu lub nawet w tyle. Na pochwałę naszą powiedzieć trzeba, iż rozwijają się wszystkie te instytucye, których celem jest oświata, opieka nad dziećmi, zrównanie praw, ochrona i rozwój pracy ekonomicznej i społecznej. Szwankują głównie te, które założone zostały z myślą stworzenia wypoczynku po pracy i rozrywki umysłowej, rozwoju samokształcenia i estetycznej kultury.

Nie należy jednak bynajmniej dlatego potępiać działalności tych zrzeszeń, ani twierdzić, że ponieważ nie idą narazie najlepiej, więc istnieć nie powinny—to jest właśnie punkt dowodzenia fałszywy. — Może inaczej bywa gdzieindziej, ale w naszych warunkach każda instytucya, każde zrzeszenie, które istnieje, tem samem jest już pożądane, — tworzy bowiem zawsze pewien określony i usystematyzowany teren działania, który — choć niewykorzystany chwilowo, jest, w każdym razie do rozporządzenia tych, którzy działać zapragną.

Obowiązkiem członków takiej instytucyi jest nie zaniedbywać jej, lecz o ile coś w jej poszczególnym planie potrzeba zreformować — starać się przeprowadzić i zmienić. O to jednak najtrudniej, najtrudniej o tych ludzi, którzy chcieliby coś robić i zrobić, — zasada nieinterwencyi jest, przyznaję, wygodna, dla wielu niepożądających czynu osobników, ale czy jest korzystną dla instytucyi, a pośrednio i dla ogółu? Niezapomnę jak jeden ze znajomych lekarzy mówił do mnie o instytucyi zawodowej: „Nic się tam nie zrobi, — ja należę, bo płacę składkę, ale zresztą nawet nie chodzę na posiedzenia".

Otóż to jest klasyczny objaw stosunku członków do pewnych zrzeszeń, — dobrze jeszcze jeśli płacą składki, ale często, niestety, i te szwankują.

Nie powinniśmy jednak patrzeć z zbyt wielkim pesymizmem na objaw ten, jest on powrotną falą naszego zapału do stowarzyszeń i musiał przyjść i chodzi tylko o to, aby ochłodzenie to nie było zbyt ogólne i zbyt trwałe — aby każdy dobrze zdał sobie sprawę gdzie, ile i jak pracować chce i może, aby się nie zniechęcał do stowarzyszenia, które na razie pracuje mniej intensywnie, lecz starał się, zbadawszy przyczynę depresyi w życiu swego zrzeszenia, usunąć ją, i pchnąć to życie na szybsze i szersze tory. Dobytku społecznego mamy dotychczas bardzo mało — niewielkie są nasze bogactwa — dlatego powinniśmy cenić wszystko co już mamy, co już zdobyć mogliśmy, nie lekceważyć niczego, lecz starać się wszystko zwiększać, zbogacać i zmacniać.

Z pokaźnej liczby zrzeszeń w ostatnich czasach powstałych, ogromna część przypada na stowarzyszenia, jeśli nie czysto kobiece i to w większości, kobiet w zarządzie i pośród członków — możnaby nawet powiedzieć, iż kobiety, u wstępu zbudzonego życia społeczno-politycznego poszły w ogień i odrazu dowiodły, że żyć tem życiem chcą i potrafią, tyle było inicyatywy, chęci do czynu i śmiałości w pierwszych stawianych krokach. Tembardziej jednak teraz trzymać się powinny na raz zdobytych stanowiskach, tem więcej działać, tem większą rozwijać energię i tem więcej, jeśli jakieś zrzeszenie kobiece mniej jest żywotne, znaleźć się powinne chętne do zaofiarowania swego czasu w pracy dla dobra instytucyi. Nie trzeba tylko na razie wymagać zawiele, nie żądać, aby jedno stowarzyszenie wyrobiło reformę społeczną, lecz zadowolnić się mniejszem, starać się o zapewnienie członkom pewnych korzyści utylitarnych, któreby zwiększyły ich ilość — mniej szeroki plan działania zakreślić nazewnątrz, a więcej myśleć o kształceniu wzajemnem i umysłowej kulturze a, co najgłówniejsze. skupić się w działalności. Są zrzeszenia, najzacniejsze zkąd inąd, które z pewnego ogólnego tytułu i nazwy — sądzą się powołane, literalnie do wszystkiego. I popieranie polskiego przemysłu, i pomoc kształcącej się młodzieży, i nauczanie analfabetów, i organizacya zabaw popularno-kształcących, i kursy dla pracownic i mnóstwo projektów, które właśnie dlatego, że są tak szerokie i ogólne, niemogą być wszystkie naraz przez jedno stowarzyszenie urzeczywistnione.

Nie znaczy to jednak, aby się doń zniechęcać i podkopywać je przez obojętność i bagatelizowanie jego celów, — nie, trzeba tylko skupić się, zaprowadzić pewne, doświadczeniem już wskazane modyfikacye i zróżniczkować prace, przekonaliśmy się już bowiem iż, pomimo ogólnego charakteru wszystkich ustaw stowarzyszeniowych, najlepiej działają instytucye o jednym i ściśle określonym celu, nie rozdrabniając się na roboty uboczne.

W żadnym jednak razie nie wolno nam

Z doby obecnej.

Niedoceniani geniusze. — Nasze jubileusze. — „Trawka z grobu Adama Mickiewicza". — Z obrad nad Słowackim. — Projekty obchodów uroczystości. — Poezye poetów. — 18 miesięcy Słowackiego. — Rękopisy polskie leżące odłogiem. — Brak nam Towarzystwa wydawniczego. — Jak czcić Słowackiego.

Naród, który nie umie czcić geniuszów swoich, nie wart ich,"— aforyzm stary, znany i uznany.

Czy naród polski umie czcić wielkości swoje?

Względnie...

O wielkiej miary poecie Cypryanie Norwidzie społeczeństwo nasze dowiedziało się w kilkadziesiąt lat po jego śmierci, bardzo niedawno, dzięki redaktorowi *Chimery*, Zenonowi Przesmyckiemu (Miriamowi). O dwóch największych polskich, dodajmy jedynie oryginalnych dwóch filozofach naszych: Hoene *) Wrońskim i Józefie Gołuchowskim ani naród, ani nawet nauka polska dobrze nie wie.. Prace ich nie zostały należycie zbadane i pogłębione. Asnyk, Ujejski, Kasprowicz — są najzupełniej niedokończeni...

Za to kiedy zacznie się u nas wyprawiać jubileusze, czcimy, cenimy, uwielbiamy, mówimy, piszemy, malujemy, rysujemy, śpiewamy, gramy, aż do przesady. W formach jubileuszowania posuwamy się tak bardzo daleko, że wreszcie samo nazwisko staje się na czas jakiś odstraszającem.

Przypomnijmy sobie co u nas zrobiono z obchodów Mickiewiczowskich. Doszło do tego, że mieliśmy papierosy, zapałki, stalówki, ołówki... Mickiewiczowskie. Mickiewicza malowano na filiżankach, spodkach, spluwaczkach, wycieraczkach i jeszcze w gorszych miejscach. O Mickiewiczu pisano jako poecie, polityku, myśliwym, astronomie, botaniku, zoologu, mineralogu, ichtiologu, ba, *Biesiada Literacka* umieściła nawet specyalny artykuł p. t. „Trawka z grobu Adama Mickiewicza", opisując szeroko zerwaną łodygę z cmentarza paryskiego...

Po Mickiewiczu przyszła kolej na inne jubileusze i znów przeszarżowano, doprowadzono do tego, że kiedy ktoś w dzienniku przeczytał nazwisko jubilata, o którym przez miesiące całe bez końca pisano, organ odrzucano z odrazą.

Obecnie zapowiada się nowa w prasie naszej kampania, kampania jubileuszowa ku „uczczeniu" Juliusza Słowackiego. Wstęp do tej kampanii już mamy.

Zawiązały się trzy komitety: lwowski, krakowski i warszawski, każdy chce umieścić zwłoki poety gdzieindziej. Jedni na sarkofagu na szczycie Tatr, inni na Wawelu, inni w Warszawie. Aczkolwiek nie można rzec: mniejsza o to, gdzie zwłoki spoczną, byle znalazły się na ziemi polskiej, w każdym atoli razie najważniejsze to, aby spoczęły na polskiej ziemi. Akcya w celu sprowadzenia szczątków wieszcza w każdym razie ma głęboką podstawę.

Jubileusz Słowackiego powinien przyjąć cechy ogólno-narodowe, ale cóż, kiedy komitety znów pracują, aby znacznie przekroczyć miarę.

Posłuchajcie! Komitet warszawski ni mniej ni więcej tylko projektuje: 1-o sprowadzić zwłoki Słowackiego, 2-o wydać ozdobny komplet dzieł poety, 3-o wybudować w Warsza

*) O Hoene Wrońskim b. szczegółowo opracowany odczyt wygłosił niedawno prof. Władysław M. Kozłowski, w cyklu odczytów urządzanych staraniem wyższych kursów handlowych. (Przyp. Red.).

twierdzić, że te lub owe stowarzyszenia są niepotrzebne, w żadnym razie nie powinniśmy dopuścić do ich upadku. W warunkach w jakich żyjemy, każda, najskromniejsza nawet instytucya jest dla nas ważną i każda z ofiar naszej pracy i dobrych chęci istnieć powinna.

Natalia Jastrzębska.

Eugenia Żmijewska.

PŁOMYK.

CZĘŚĆ TRZECIA.

TOM DRUGI.

III.

— Czy panią boli, gdy tutaj naciskam? Boli... Nogi drętwieją. Czuje pani w sobie jakiś ciężar, jak gdyby kto wrzucił w panią funt żelazny... Ot tu, w tem miejscu? Prawda? Ciężar zwiększa się po każdem silnem wrażeniu... No i ten ból krzyża... zwiększa się w pewnych okresach... Pani się znowu rumieni — obraża! Kiedyż się to skończy! Oj! to *skromne* wychowanie! Czy pani wie, że *to* właśnie, te oburzenia, są nie przyzwoite?... Należy brać rzeczy prosto, naturalnie, fizyologicznie... Pani, ma się rozumieć, nie słyszała o tej potwornej nieskromności, która w anatomii zowie się — organami kobiecemi. Nikt nie ośmielił się pani mówić o chorobach tych organów. Dzięki właśnie tym „skromnym" przemilczaniem, nie umiała pani obchodzić się z sobą, nie wiedziała pani — czego i kiedy unikać... No, i mogę pani powinszować rezultatu — przyzwoitej edukacyi. Pani jest zagrożona chorobą poważną... Dotychczas jestto jeszcze tylko — usposobienie, przy dalszych usiłowaniach ze strony pani może to przejść — w stan... A słyszała pani o histeryi?

W oczach Doli odbija się lęk, przepastna trwoga...

— ... Może i to słowo było wykluczone z panieńskiego dykcyonarza? — ciągnie dalej dr. Derkacz. — Otóż przy dalszem stosowaniu *tak* pojmowanej... skromności, szybkim krokiem dojdzie pani do — histeryi.

— I niema na to rady? — pyta Dola strwożona.

— I owszem — jest, i nie jedna. Pierwszą i najlepszą zalecam od samego początku: wyjść za mąż...

— A druga?

— Druga? Hm! Druga jeszcze łatwiejsza, prostsza—ale trzeba na to być rozsądną, zaufać mi ślepo, wierzyć, że cokolwiek zrobię, to będzie dla pani dobre... Ja pani tego nie mogę wytłómaczyć — tak, odrazu, na poczekaniu, pani jeszcze bardzo głupiutka i... mimo wszystko — ja to w pani szanuję... Romantyk! siwy głupiec!

Mówiąc to, wpijał w nią wzrok, zakradający się do głębi duszy.

— Niech pan tak na mnie nie patrzy! — prosiła.

Uśmiechnął się, pogładził ją po ręku.

— Taki jasny, czysty płomień! I strawi się bez pożytku dla nikogo. Oj! głupie! głupie życie!

. . . .

... Co to są choroby kobiece i te organy... Dola nic o nich nie wie. A uczono ją anatomii...

Pamięta, że w Instytucie profesor zaczął mówić o „budowie" kobiety. Panny chichotały się, spuściwszy głowy na kasetki, a dama klasowa, pani Werner, przerwała wykład jakiemś pytaniem. Po skończonej godzinie rozmawiała z profesorem długo w pustej klasie, a na następnej lekcyi nie było już mowy o szczegółach budowy kobiecej

... On pewnie chciał mówić—o organach kobiecych.

... Koleżanki Doli były ciekawe, co to takiego. Zaglądały do encyklopedyi i szeptały z sobą i śmiały się... Z nią nie mówiły o tem, bo ją uważały za głupią, wiszącą wiecznie w obłokach...

Nie była też wcale ciekawa — takich rzeczy. Ciekawa była tylko miłości — od lat najmłodszych.

I oto nagle dowiaduje się od człowieka mądrego, od doktora, że *to* ma coś wspólnego z miłością, że choroby kobiece powstają skutkiem miłości niewzajemnych lub — niezupełnych.

Miłość — niezupełna! Co to takiego? Dola przeczuwa oddawna, że nawet pocałunki — to — nie wszystko. Ale *co* jest—wszystkiem, co jest zupełnością uczucia?

Gdy Kazio pocałunkami doprowadzał ją niemal do martwoty, do omdlenia, to nie była jeszcze *zupełna* miłość.

---

wie teatr im. Słowackiego, 4-o założyć specyalne czasopismo poświęcone Słowackiemu! Bagatela!

Rozłożywszy to na język cyfr, trzebaby zebrać na cele te tylko trzy i pół miljona rubli! Kto da, kto złoży te pieniądze? My, nędzarze? My, którzy na cele oświaty kraju, na cele zwiniętej Macierzy szkolnej, na cele stworzenia kultury narodu, nie mogliśmy zebrać jednego miliona, na potrzeby projektów jubileuszowych mamy zebrać trzy i pół miliona. To zakrawa na czysty żart, a jednak komitet warszawski po akademicku obraduje nad tem i nie widzi utopijności pomysłów.

Ale rozejrzyjmy się w ciekawych tych projektach po kolei: sprowadzenie zwłok — przechodzi przez aklamacyę, bez protestów naszych.

Wydanie kompletu dzieł Słowackiego: wiemy, że pewna księgarnia lwowska podjęła już wydanie wszystkich pism poety, które wkrótce się już ukaże, inna zaś firma warszawska gotuje ogłoszenie „jubileuszowej edycyi". Wydanie komitetu byłoby więc już trzeciem, zupełnie zbytecznem, które przyniosłoby stratę, nie pokrywszy kosztów druku i papieru.

Teatr Słowackiego w Warszawie: trzeba conajmniej $1^1/_2$ miljona rub. na wzniesienie gmachu i setki tysięcy rubli na subsydjowanie sceny, na to nas stanowczo nie stać. Projekt wzniosły, ale nie wykonalny, poetycki, ale nie oparty na gruncie realnym.

Czasopismo poświęcone Słowackiemu: stanowczo zbyteczne. Studya o Słowackim chętnie umiesci każdy z istniejących już u nas organów, które razem wzięte ledwie utrzymać się mogą i wegetować.

Pamiętajmy jednak, że jubileusz przypadnie dopiero we wrześniu roku przyszłego. Dzieli nas od niego jeszcze $1^1/_2$ roku. Nie tracę nadziei na chwilę, że pisząc u nas bez przerwy przez 18 miesięcy wyłoni się jeszcze tyle projektów, ukaże się taka olbrzymia powódź artykułów i rozpraw o Słowackim, głębokich, obojętnych lub niedorzecznych, że znów dojdziemy do absurdu jubileuszowego.

Umiemy szarżować, a co gorsza — przeszarżowywać.

*
* *

I oto w chwili, kiedy Warszawa obraduje nad założeniem specyalnego pisma, poświęconego Słowackiemu, kiedy pragnie przystąpić do dokonania trzeciego wydania dzieł Juljusza, obok dwóch już odtłoczonych przez dwie firmy księgarskie, leżą u nas kurzem porastające rękopisy współczesnych autorów, które nie zaliczając się do studyów o Słowackim, nie mogą znaleźć nakładcy.

Cennych ale niepopłatnych dla księgarzy manuskryptów sam znam bardzo wiele. Świeżo skarżył się w pismach słynny nasz oryentalista Grzegorzewski, że prac jego nie ma kto wydać.

Przedemną leży znów ogłoszenie drukowane p. Leo Belmonta, wysoce utalentowanego publicysty, prawnika, który pod nagłówkiem: „do panów księgarzy wydawców skromna prośba" pisze:

„Od sierpnia roku zeszłego leży na mojem biurku rękopis studyum ekonomicznego p. t.: „Socjalizm i sprawiedliwość".

Rzecz ta zajmuje około 15 arkuszy druku i zawiera następujące rozdziały:

1) Zagadnienie wartości. 2) Prawa podaży i popytu. 3) Praca a czas. 4) Konstrukcya nadwartości. 5) Ewolucya wymiany. 6) Za-

Czego brakło? — Ślubu. A po ślubie — co? Co?

... Doktor powiada, że nieznajomość anatomii jest zbrodnią, obciążającą sumienie wychowawców i niszczącą zdrowie panien...

Wszak ona, istotnie popełniła mnóstwo rzeczy szkodliwych dla zdrowia — kąpała się, tańczyła, jeździła—w czasie, kiedy powinna była leżeć w łóżku, oszczędzać siły... Popełniała te szaleństwa przez skromność, żeby nikt się nie domyślił..., a zresztą nie wiedziała, że to takie szkodliwe, takie niebezpieczne!

... Więc *to* było powodem jej dolegliwości. Nie przyznałaby się do niej przed nikim, nawet przed kobietą... To niedomaganie, którego określić nie umie, resztek sił ją pozbawia...

Gdy dr. Derkacz je nazwał — popatrzyła na niego oczyma zdziwionemi, szczerze, naiwnie... Spostrzegł odrazu, że nie wie, co nazwa oznacza. Wyraził się jaśniej, Dola zrozumiała, a zrozumiawszy, zawstydziła się okropnie i nie śmiała spojrzeć mu w oczy.

... Bo, istotnie, czemu ona nie zna życia, ludzi, czemu nie zna nawet siebie — własnych chorób, własnego organizmu?

Czemu nie nauczono jej rzeczy, których musi dowiadywać się z ust — mężczyzny, człowieka obcego... Szorstki, nieprzyzwoity, a ona taka bezradna!

— Jak pan śmie! — powtarza mu za każdem widzeniem, gdy on ją pyta o szczegóły, których ona sama przed sobą się wstydzi...

— Jak pan śmie!

To jej puklerz jedyny — jedyna obrona przed dobrą czy też złą wolą tego dziwnego człowieka...

A on śmieje się i odpowiada:

— To ja miałbym ochotę wołać do tych, którzy urabiali pani pojęcia: Jakeście śmieli wypuszczać w świat takie stworzenie bezbronne, nieświadome!

O tak! jest nieświadomą — wszystkiego złego i dobrego. Nie wie nawet: Co złe, co dobre. Mówiono jej, że skromność jest pierwszą zaletą dobrze wychowanej panny.

Czemże jest skromność? — Nieświadomością złego — a może... może dobrego? Wstydem? Czego właściwie wstydzić się trzeba? Pani Wolińska — matka — mówiły jej, że wszelkiego zbliżenia z mężczyzną obcym, dłuższej nawet rozmowy. Ale z jakiego powodu? Czy mężczyzna jest stworzeniem nieprzyzwoitszem od kobiety i może ją zgorszyć?

Ona się jakoś tego zgorszenia nie boi — i nie bała się nawet dawniej, właściwie nie bała się nigdy mężczyzn, choć jest tak bardzo nieśmiałą.

A dziś — już stara panna — dwadzieścia dwa lata i życia jeszcze nie zna... Te lata, spędzone na wsi to była wegetacya. Przemarzyła je, nie wiedząc niemal gdzie jest i co się z nią dzieje naprawdę.

No, i jest teraz w Warszawie..

Tutaj ludzie rozumniejsi, ale i gorsi — daleko. Bo i ten doktór. Co on ma w tem, żeby wszystkie jej pojęcia moralne burzyć?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Woła Warszawa.

Mnie — *Mnie* oddajcie Słowackiego zwłoki!
Przez Króla-Ducha, co — choć odwcielony —
Czołom ugiętym kłaść mocen korony,
Jam uczyniona jest nakształt opoki.

Bom ja patrzała, posępna i gniewna,
Płaczem wewnętrznym drżąca w serca buncie,
Jak na dziedzicznym synów moich gruncie
Rosły ohydne szubienicy drewna.

Bo bruki moje zlane krwią mych dzieci,
Co biegły w złotą jutrzenkę swobody
Przez śmierć i mękę, jak na ślubne gody,
W ów rok trzydziesty i sześćdziesiąt trzeci.

Któż więc miłośniej uklęknie nad truną
Tego, co odczuł mnie „żałosną wdową"
„I stóp skrwawionych moich sięgnął głową"?..
Komuż wierniejszą Prochu być piastuną?

Gdy mi nie dano drogiej strzedz pamiątki,
Zwłok ulubieńca mego i Rycerza,
Co honor Polski Bogu tylko zwierza,
Niechże mam zato Piewcy mego szczątki!

Warszawa — r. 1908.

T. Prażmowska.

łożenia „Kapitału". 7) Na szlakach myśli Marksa. 8) Prawa moralne w gospodarstwie społecznem.

Pozwalam sobie nieskromnie mniemać, że praca ta, będąca owocem studyów sumiennych i długich mąk myśli, zawiera niejeden pogląd oryginalny i rzuca światło na teoryę Marksa z nowych punktów widzenia, że stanowiłaby ona niepozbawiony wartości wkład do naszej ubogiej literatury oryginalnej w dziedzinie nauki ekonomicznej, że przyniosłaby pewien pożytek pragnącym zoryentować się śród panującego u nas chaosu poglądów na zjawiska ekonomiczne, że... wreszcie zyskałaby przynajmniej ten stopień poczytności, który uchroniłby śmiałego wydawcę od straty, a może przyniósłby mu pewien zysk.

Chyba nie ulega żadnej wątpliwości, że nawet bez ostatniego warunku z pobudek, jeżeli nie ideowych i społecznych, to co najmniej—próżności autorskiej, wydałbym to dzieło *nakładem własnym*, gdybym nie skazał już siebie na *jeden rok* ciężkich robót — wydawania „Wolnego Słowa", gwoli czemu zmuszony jestem zużytkować wszystkie moje skromne zasoby. To pozbawia mnie możności wydania wspomnianej wyżej książki.

A ponieważ nie potrafię obchodzić wydawców, wchodzić na schody z nadzieją, aby schodzić z rozczarowaniem — zwracam się do ich łaskawości z prośbą następującą:

Może kto z Sz. Panów zechce wydać mój utwór. Wszelkie warunki akceptuję z góry, zaznaczając przecie, że wolałbym, aby przy największej dogodności dla wydawcy, nie były one absolutnie niedogodnemi dla autora".

Poważne to dzieło miałem sposobność poznać w rękopisie. Jest to pierwsza próba polskiego, oryginalnego, a krytycznego wykładu socyalizmu. Rzecz na czasie, pisana żywo i przystępnie, a jednak autor od roku prawie poszukuje wydawcy, chce nawet darmo oddać rękopis i — nakładcy znaleźć nie może. Musi uciekać się do „ogłoszeń" i może także bez skutku.

Wysoce utalentowany badacz literacki p. Artur Górski, niedawno *wydał własnym kosztem kapitalną książkę „Monsalwat"* w dodatku o Mickiewiczu, *gdyż nikt z księgarzy nie chciał zaryzykować swojego nakładu.* Przykładów analogicznych znamy dziesiątki a może setki.

I oto w takich warunkach mamy pójść w jednostronnym kierunku wyłożenia wielkich sum na badanie Słowackiego, zapominając o licznych leżących u nas odłogiem dziełach naukowych i literackich!

W Warszawie, za przykładem Lwowa i Krakowa należałoby stworzyć społecznej natury Towarzystwo wydawnicze, choćby właśnie imienia Słowackiego, ale Towarzystwo to nie powinno mieć na względzie jedynie prac o autorze „Mazepy", lecz szerzyć ruch wydawniczy polski w najszerszem znaczeniu.

Wypłynąłby z tego stokroć większy pożytek dla narodu, a i Słowacki byłby uczczony mniej jednostronnie, niż to zaznacza komitet warszawski.

Stefan Gorski.

Kobieta angielska

jako reformatorka społeczna

podała nie-feministka.

(Ciąg dalszy).

Zabiegi, w kierunku ekonomicznego wyzwolenia kobiety, nie wyczerpują bynajmniej działalności jej na szerszej arenie życiowej.

Rozbudzona świadomość tysiącznych nędz życia była pierwszą zdobyczą moralną, jaką kobieta angielska wyniosła z otarcia się na rynku pracy z różnorodnemi, ukrytemi dotąd przed nią przejawami stosunków społecznych. Ze zjawisk tych pierwszem, co targnęło boleśnie najczulszemi strunami wrażliwego jej serca, była niedola dziatwy, którą zwykła ona była widzieć otoczoną opieką i czułością kochających rodziców, a o której rzeszach, pokutujących — nie ze swej winy — nietylko w nędzy i opuszczeniu, ale często w ciemnych norach więziennych, dowiedziała się teraz.

Ze sprawą t. zw. „małoletnich przestępców" godziło się społeczeństwo angielskie, jako ze złem koniecznem, którem z tej racyi zbytnio się nie wzruszało, jakkolwiek musiało wszak zdawać sobie sprawę z całej bezmyślności, okrucieństwa i bezcelowości karania więzieniem dzieci 9-cio a nawet, jak się zdarzało, 7-mioletnich. Mimo to jednak przechodzono nad tą sprawą do porządku dziennego, i co najwyżej, gdy jakiś szczególnie jaskrawy, urągający wszelkiej logice, fakt wtrącania do więzienia nieświadomej nawet swej „zbrodni" dzieciny, budził uśpione sumienie opinnii publicznej, zdobywano się na krok energiczniejszy w kierunku zreformowania obydwóch stosunków. Łagodzono więc klauzulę więzienną dla małoletnich, ujawniano większą dbałość o zbawienie ich duszy, nakazując częste prowadzenie do kaplicy więziennej, urządzając dla nich specyalne kazania pobocznych misyonarek i t. p. Tu i owdzie posuwano się nawet do otwierania — zawsze w obrębie murów więziennych — szkół specyalnie dla młodocianych pensyonarzy domów kary.

Wszystko to jednak były, nie prowadzące do celu, półśrodki, gdy w rzeczy samej sięgnąć należało do źródła złego. Z tego tak oczywistego, zda się, prostego faktu nie zdawał sobie jednak nikt sprawy. Nawet poruszenie w r. 1847 przez komitet lordów kwestyi zasadniczej reformy systemu więzienia „małoletnich przestępców", nie posunęło sprawy naprzód. W ciągu 4-ch następnych lat było głuche milczenie odpowiedzią na ogłoszone przez komitet wezwanie do działania w tym kierunku. Aż wreszcie szlachetne, przejęte głębokim entuzyazmem religijnym, zdolne do najwyższych ofiar i poświęceń, serce kobiety zdobyło się na podjęcie rzuconej przez lordów rękawicy.

W r. 1850 dostało się przypadkiem sprawozdanie z posiedzenia wspomnianego komitetu lordów w ręce, niemłodej już wówczas bogatej damy angielskiej, *Mary Carpenter*. Przejęta do głębi wyłożonemi w niej, przerażliwemi w swej nagości cyframi, postanowiła ona za wszelką cenę przeprowadzić radykalną w tej sprawie reformę.

Zupełna bezceloweść — nie mówiąc już o nieludzkości — środka, jakim jest więzienie w roli wykorzeniacza złych instyktów czy nawyków dziecięcych, była dla niej aż nadto oczywistą od pierwszej zaraz chwili, w której otworzyły się oczy jej na nieprawdopodobny ten stan rzeczy. Nasunęła się jej też odrasu konieczność zastąpienia więzienia innym, bardziej celowym systemem. Na nić, wiodącą w tej mierze do kłębka, natrafiła ona rychło, zwłaszcza, gdy przejęta losem dzieci zaniedbanych, czy zupełnie opuszczonych, zaczęła gromadzić je w specyalnie w tym celu ufundowanej i zorganizowanej przez nią samą szkole dla małych włóczęgów ulicznych (*kaggetschool*). Zetknięcie się bliższe z dziećmi, tworzącemi właściwy tej szkole surowy materyał, przekonało ją, że wina występków dziecięcych, ich złych skłonności, spada przedewszystkiem na rodziców i warunki otaczającego dzieci środowiska. Z drugiej zaś strony przypatrzenie się więzieniom dla małoletnich przestępców, zapoznanie sie z ich pensyonarzami i dozorcami, kapelanami, lekarzami oraz nauczycielami, dało jej głębokie przeświadczenie, że kara więzienia nie tylko nie jest środkiem, uzdrawiającym moralnie, ale wprost przeciwnie, potęgującym do najwyższych granic wrodzoną czy nabytą występność natury dziecięcej, przyśpieszającym jedynie i utrwalającem doszczętny jej rozkład.

Zbrojna w gorącą, wszelkie przeszkody zwalczającą wiarę, popartą bogatym i przekonywającym materyałem dowodowym, zdecydowała się wreszcie miss Corpenter na obronienie swojej tezy przed szerokiem forum publicznem. W roku 1851 ogłosiła ona drukiem gruby tom, noszący nieco przydługi i niezupełnie jasny tytuł: „Reformotory schools for the children of the peristing and dangerous classes and for juvenile offenders" Szkoły poprawcze dla dzieci klas gubiących i niebezpiecznych oraz dla małoletnich przestępców"). Książka ta, pisana prawdziwie krwią serca, będąca jednym olbrzymim, przeciągłym okrzykiem, zranionej widokiem ludzkich okrucieństw, duszy, rzuciła po raz pierwszy w obec społeczeństwa angielskiego jaskrawe światło na wszystkie strony systemu kary więziennej dla małoletnich, przy czem wysunęła na pierwszy plan wypieszczone dziecię autorki — sprawę szkół poprawczych. Świetna, poparta niezwykłem bogactwem materyału dowodowego, argumentacya przeciwko pierwszemu systemowi i na korzyść drugiego musiała mocą nieodpartej swej logiki przekonać najzawziętszych nawet przeciwników.

Praca teoretyczna, którą stanowiło wydanie książki, była dla Carpenter wstępem jedynie do właściwej działalności. Bezpośrednio po jej wydaniu zabrała się ona do właściwego zadania, jakie jej się z natury rzeczy i nawyków życia angielskiego narzucało, do zwołania konferencyi w tej sprawie i zgromadzenia na niej stronników zaprojektowanej reformy. Konferencya ta odbyła się w grudniu tegoż 1851 r., w Birminghamie. Jako ciekawy i znamienny szczegół zaznaczyć należy, że Carpenter, będąca — rzecz prosta — duszą i ukrytą sprężyną wszystkich posiedzeń, ani razu z powodu nieśmiałości swojej, nie zabrała na nich głosu. Mimo to jednak przyjęte zostały wszystkie sformułowane przez nią w książce wnioski o konieczności utworzenia trojakiego rodzaju szkół: 1) dla nieprzyjmowanych do ogólnych szkół dzieci rodziców biednych i występnych, 2) dla dzieci, które wpadły już w ręce policyi za włóczęgostwo, żebraninę uliczną, oraz za drobne wykroczenia przeciw prawu; 3) szkół dla dzieci, skazanych już za przestępstwa, świadczące o skażeniu charakteru. Nadto, zgromadzenie, nie ograniczając się na przyjęciu powyższej uchwały, wyłoniło ze swego grona komisyę, której poruczono zakomunikowanie uchwały rządowi w postaci opracowanego projektu reformy odnośnego prawa.

R. C.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z piśmiennictwa.

Maryan Gawalewicz. Dwie baśnie: I. *Synowie Laokoona.* II. *Jak się głupi Janek kochał.* (Wierutna bajka). — *Wicherek.—Bez celu,* powieść na tle społecznem naszych czasów. Dwa tomy. Warszawa 1908. Druk Piotra Laskauera i S-ki.

III.

Wypadki ostatniej doby musiały wstrząsnąć każdym, musiały zapłodnić niejedną wyobraźnię artystyczną. Stosownie do swego duchowego ustroju, stosownie do siły swego talentu — jedni w tych wypadkach dostrzegali epos dziejowe, tragedyę społeczną; inni patrzyli na nie, jak na prognozę, lub na — konsekwencyę przeszłości. Każdy pod te krwawe obrazy podkładał tło własnych wrażeń, wniosków, własnego temperamentu obywatelskiego czy też artystycznego. Nie było widzów obojętnych, jak publiczność z pierwszych piętr teatralnych Nie było, bodaj dla tego, że owa publiczność pierwszych piętr teatralnych rozpierzchła się na cztery wiatry. Ci, którzy pozostali, nie patrzyli z loży przez lornetkę; w ten lub ów sposób brali udział w ogólnym ruchu, wszyscy byli uczestnikami krwawego widowiska czy to przykładali ręki dobrowolnie, czy mimowoli przypłacali mieniem, czy to współczuli, czy potępiali.

Dusze-źwierciadła, dusze artystów wchłaniały obrazy pożogi, aby w oświetleniu swych myśli, swych wrażeń oddać je z powrotem społeczeństwu, rzucić je na ekran jego wspomnień.

Gawalewicz patrzył na te wypadki przedewszystkiem jako obywatel. Dusza jego nie była li tylko źwierciadłem, lecz i raną, krwawiącą się od krwi współbraci, a nad tą posoką unosiła się myśl, szukająca źródła tych krwawych mordów.

W ostatniej swojej powieści „Bez celu", znanej dobrze czytelnikom naszym, przedstawił nie tylko chwile walki, obrazy nieszczęść, ale i tych nieszczęść przyczyny. A że jest artystą, więc je przedstawił nie w postaci dysertacyj lub dociekań, lecz na ekran wypadków rzucił postacie żywe, których słowa i czyny zmuszają nas do wyciągania wniosków.

Gawalewicz ożywił akcyę mnóstwem ciekawych figur i typów, zaczynając od bohatera i szlachetnego zapaleńca Sokolika i jego siostry, dzielnej i cichej pracownicy Rozalii, a kończąc na ich ojcu, starym Lebickim, który właściwie ojcem nie jest, tylko *papą*, jak słusznie chce, aby go nazywano.

Typowy szlachcic podupadły: nieustraszony wobec śmierci, pozujący jednak i przed jej obliczem; gotów zginąć bohatersko, choć gotów żyć marnie, czepiając się cudzej klamki — już nie pańskiej, jak dawni *paragonowie* wojewodów; lecz bodaj dyrektorskiej lub... magazynowej.

Ten papa, skłonny do rozczuleń i deklamacyj, dbający o swą zewnętrzność a w najdramatyczniejszych chwilach myślący o — papierosach, przypomina trochę papę Pławickiego. Zresztą, jak każdy dobrze uchwycony typ, przypomina mnóstwo takich *papów*, których spotykamy nie w książkach, lecz w salonach, biurach, a często nawet — w przytułkach noclegowych. Ci ludzie brali życie „po łebkach", hulali, póki ich było stać na to, „dziś, dziś, dziś" — to ich hasło; jutro „naciągają" krewnych, znajomych, pojutrze „wyciągają" rękę na ulicy — okrągło, zgrabnie, jak w mazurze. Do grobowej deski; o ile nie zapomną francuzczyzny, lubią powtarzać: *tout est perdu, sauf l'honneur,* choć ten honor bywa nieraz unurzany w cudzym złocie lub— w rynsztoku.

Pani Biffer, powołująca się na przodków zasłużonych dla kraju, choć zgoła nie znanych światu, jest także postacią, spotykaną często u nas, a chyba tylko u nas się zdarza, aby „partya" szukała przytułku u osób, nie znających nawet jej celów i wysyłała do nich delegatów, o których sama nic nie wie.

Wśród tych, pomniejszych, lecz charakterystycznych postaci snuje się Jerzyk. Rodzice nie mają czasu nim się zająć, bo zajęci robieniem rewolucyi. Biedny chłopiec swego Puńcia słusznie upomina, że „z dzieckiem, to się nie powinno tak postępować".

Autor „Milusińskich", jak nikt, umie zajrzeć do duszy dziecięcej. Ten chłopczyk, dojrzały przedwcześnie, pozbawiony a potrzebujący serca, jest na tyle dziecinny, iż zdradza matkę przed żandarmami, a na tyle dojrzały, że bardzo silnie odczuwa nieszczęście, które swym niebacznym szeptem sprowadził. Dopiero po uwięzieniu rodziców zyskuje czułą opiekę — w swej dobrej i ślicznej cioci Broni.

Ona jedna — a siostra Sokolika, Rozalja— druga, nie biorą udziału w rewolucyi, spełniając swe najbliższe obowiązki. A jacyż są ci, którzy tę rewolucyę robią, i dlaczego ją robią?

Sewerka, zwana „Niewiastą", oddana rozmaitym celom „ideowym" popisuje się swoją wolnomyślnością, nie zna żadnych ustępstw, ani kompromisów względem ludzi odmiennych przekonań. Krzykactwo, potrzeba szastania się, histerya — to są pobudki jej czynów na polu społecznem.

Zettelman, dążący także do ogólno-ludzkich ideałów, wszystkie inne cele uważa za drugorzędne. Obchodzi go tylko człowiek, jako indywiduum, i człowiek, jako jednostka społeczna. Narodowość uważa za rzecz przypadku: toż „mógł był tak samo dobrze urodzić się w Jokohamie, jak w Pińczowie". Wszystko, co nie wchodzi w zakres jego działalności jest mu *„ganz Wurst"*. Nie obchodzą go klęski, jakie na kraj spadną skutkiem działań podobnych.

Siostra Sewerki Romecka, robi rewolucyę na złość mężowi, mszcząc się na nim za to, że nie chce jej wyjawić sekretów partyjnych, przechodzi do skrajnego odłamu stronnictwa, przechowuje w domu rewolwery, tak otwarcie, że widzi to nawet mały Jerzyk.

Nad wszystkimi temi postaciami góruje Zeus, taki sam doktryner, jak inni, lecz stanowczy, śmiały, energiczny i rozumny; dla tych zalet szanowany powszechnie, choć nikt nic nie wie, zkąd przybył i jak się właściwie nazywa. Pomimo szalonego ryzykowania swej osoby i życia, wychodzi zawsze cało. Przy boku jego Dowmunt, przezwany Samowarem, bo kipi wrzątkiem przewrotowych idei i haseł.

To sztąb główny, dokoła „towarzysze" „sprzedający swój pot, swoją krew, na łuty i funty, tak samo jakby sprzedawali łój, czy mięso w jatkach".

Tylko Sokolik nie chciał być najmitą na żołdzie rewolucyi, jeno ochotnikiem wielkiego ruchu. Siostra jego—nie żadna działaczka społeczna, ani agitatorka, ani „towarzyszka" należąca jedynie do partyi „nieszczęśliwych"— przez swą krwawą pracę daje bratu możność pracować dla idei—darmo.

Pracował z wiarą i zapałem młodości, w ofierze oddał nadzieję szczęścia, wolność, omal nie życie.

Śmiałemi rzutami zaznaczył Gawalewicz rozłam wsród partyi, domaganie się coraz nowych wybuchów przez skrajną lewicę pod wodzą Zettelmanów i jemu podobnych, działania bezwzględne frakcyi, skupionej około Romeckich, której hasłem było: „choćby na złamanie karku, byle naprzód!".

Jedni „robili wolność", zapatrzeni w dal i w górę, z myślą o idei, z nadzieją w przyszłość, pozbawiali się najbliższych obowiązków dla tych szerszych, wyższych. Inni brali rewolucyę w antrepryzę; tacy pod wpływem poszlak — nie dowodów, gotowi byli na własnych towarzyszy ferować wyroki śmierci — „byle handel szedł!" A z jaką lekkomyślnością dopuszczano do „roboty" ludzi rozmaitych, nikomu zgoła nie znanych!

Autor daje obrazy barwne i żywe, a zdarzenia grupuje w ten sposób, że rozumiemy ich przyczynę i skutki, dostrzegamy nie sens moralny, lecz sens rzeczy samej.

Dzieje się to nie za sprawą tendencyi, powziętej z góry przez nutora. Te postacie tak mówią i tak działają, nie dlatego, że on im inaczej mówić i działać nie pozwala. Ich czyny są logicznym wynikiem charakterów i pojęć, autor tłomaczy jeno dlaczego tak było, i dlaczego byli tacy.

Swoje zapatrywania na ostatnią krwawą kartę wyraża przez usta adwokata, broniącego Sokolika, zaznaczając, jak straszna krzywda dzieje się ogółowi, gdy jednostki żyją *bez celu,* gdyż z dobrze zrozumianych celów pojedynczych „tworzy się ów wielki cel zbiorowy, uszlachetniony ideałem dobra ogólnego". U nas ciężkie warunki pomnożyły rozbitków życiowych i młodzieży naszej każą nieraz istnieć i kroczyć drogami, nie wiodącemi do żadnej mety.

Idziemy luzem, odbiegając od najważniejszych obowiązków, nie dostrzegając celu naszych istnień, upatrujemy go nie na drodze, wytkniętej przez obowiązek, lecz, jakże często — na rozdrożach!

Eugenia Żmijewska.

STANISŁAW PIECHOWSKI.

Pięć palców

(prolog dramatu).

OBRAZ I szy.

(*Uroczysko — stare mogiły, na których stoi omszały krzyż wysoki. — Z krzyża ramiona opadły, a jedno ramię sztorcem zaryło się w ziemię— na głównej kolumnie krzyża skrzypiąca blaszana chorągiewka, a pod chorągiewką, którą powiew wiatru czasem poruszy, figura Chrystusa rzeźbiona z drzewa, naturalnej wielkości z głową pochyloną, gdy ręce wraz z ramionami odpadły. Północ księżycowa, widna — jasna; księżyc świeci z ukosa przez czuby i korony sosen — smugi świateł padają na krzyż i mogiłę. Wiedźma otulona w szaty z powiewnej mgły. Upiów w czerwonych strzępach*).

WIEDŹMA.

Słyszałam dzwon z wieży,
jak bił dwanaście godzin...
Ja, lecąca w świata rubieży
zebrałam szepty narodzin
z szumiących wielkich pól...
i w płaszcz swój zebrałam łzy
po drogach, kapiące jak mgły...
Pastuchom zabrałam ból,
grający piosnkę z wierzb fletów,
szum — z oczeretów,
echa łąk — gdy konie rżą;
Kwiatów zebrałam uśmiechy!
Dla głodnych dzieci—matek pociechy
niosę, by jutro miały co jeść...
Pod płaszczem moim tu są
ojców pomruki, że jest im źle
całe dziesiątki lat... i dnie
w łkaniach wichrów tak krwawe...
Nędzami świata pełne poły dwie!
Urwałam jedną połę o miecze rdzawe,
kiedy z wichrami pędziłam kłusa,
i muszę ją szyć ludu westchnieniem,
bo nie zdążyłam z kaplicy obrusa
Ściągnąć, kiedy pod sklepieniem
grały organy wielkie pieśni
łzami Chrystusa,
i lud jęczał coraz boleśniej.
Ja zasłuchana w te dzwony,
gdy kościół zamknął dziad —
wylazłam dziurą od klucza, jak gad,
a pieśń szła echem pól ponad trony
gwiazd — piaskami od mogił dróg.

(*Z głębi lasu zjawia się Upiór i staje przed Wiedźmą*).

UPIÓR.

Co tak płaczesz biedna?

WIEDŹMA.

Skąd lecisz szalony,
bo za tobą wieje wiatr w boru?

UPIÓR.

Wołali — precz trony!

WIEDŹMA.

Słyszałam nie ja jedna.

UPIÓR.

Wybiegłem z mogił ugoru —
Słyszę nad ranem głos kura —
Zapiał, na zdrowie mu życzę!
Zapalam moich ócz błyskawice!...
Wisielca zerwałem ze sznura,—
katom ukradłem kawał kaptura
i jestem, tu — jestem.
Od moich stąpań bór gada szelestem,
bo wlokę z sobą część sznura,
co, jak gadzina, zdradza mnie, że jestem.
Sznur za mną szumi — z kaptura
cieknie krew..
Po miastach wył gniew!...
Wyleciałem przed sień dwora,
Ogniście tańczyli mazura!...
Zawyłem! — jestem...
Sznur za mną szelestem,
jako żmija bura
syczał — syczał — syczał.
Okręcam dwór — lecę,
wtem pies zaskowyczał—
zgasili świece
i dwór był ciemny, martwy—cichy.
W kościele śpiewały mnichy,
Sam arcykapłan przywdział kap szychy...
„Te Deum“ — śpiewali i „Ave“,
Wtedy, trzy krople rzuciłem krwawe—
Zamilkli, jakby modłów się wyparli,
gdy śmierć nad nimi ostrzyła swą kosę...
Cha—cha! zamknąłem im gęby
tak wczas — tak wczas!...

WIEDŹMA.

Wtedy, gdy zbierałam rosę
z traw mogił i kwiatów kras...

UPIÓR.

Lecę—lecę w wiejskie sady,
po drodze sznur szumi — szumi,
przed chat progami ludu gromady—
spożyć siadali wieczerzę...
Każdy na łyżkę ziemniaki bierze,
aby do ust zgłodniałych wrazić...
Musiał syczący sznur ich zarazić,
bo oczy słupem wszystkich stanęły—
ręce opadły ze strawą,
i jamy ust głodne się wzdęły,
na wargach plamę widziałem krwawą.

WIEDŹMA.

W wieczorną ciszę
na liściach drzew dolę ich piszę...
co się nie zmieści w mój smętny strój,
to zwiąż w wisielców sznur twój
i niech dziś śpią!...

UPIÓR.

Nie na to ramion opadły krzyże,
arcykapłanów mdlały pacierze;
nie na to biły z wieżycy gór
dzwony o sercu zmarłem,
nie na to skradłem wisielcom sznur.
Słyszysz? ja pędzę od granic,
kędy w podziemiach stoją kościotrupy
u taczek zbitych z omszałych dranic—
okute w łańcuch, niby słupy...
One wołały w głos — że się pali
ten świat, nie północną zorzą,
lecz krwią i ogniem!...
Słyszysz!... i lecę od granic do granic
i wołam krew! i wołam — płonie!
Pójdź ze mną!

WIEDŹMA.

Gdzie?

UPIÓR.

Czy przez noc jasną, czy ciemną,
w płaszczu umarłych—w królów koronie
Pójdź, bo twe łzy mam za nic...

WIEDŹMA.

Wyroiły się duchy z księżyca,
jak z ula pszczoły na lipce.

UPIÓR.

Od granic lecę — pędzę do granic,
a kościotrupy w drodze mi świecą.
A jedni mówią—zejdzie z gwiazd dziewica,
a drudzy mówią—Chrystus tak orzekł...
i grają w różne instrumenty—skrzypce,
a ja ci mówię, że wódz kosooki
kazał zabijać wszystkie te proroki
Od samych granic — do granic.

WIEDŹMA.

Pójdę gdzie?

UPIÓR.

Weź szat poły dwie,
aż szata krwią i łzą namięknie.

WIEDŹMA.

Może świat pęknie?

UPIÓR.

I za mną hej, i za mną hej!
i Chrystusową weź z mogił rękę
tę, co się od krzyża urwała,
a drugą zakop w polską trumienkę
i wyj—hej-hej!... i wyj—hej.

WIEDŹMA.

Zaniosę do kościoła te szczątki krzyża.

UPIÓR.

A gospodyni powie, że to smoła...
Zanieś, ale ksiądz pacierza
Nawet nie zmówi, powie—kawał drewna.

WIEDŹMA.

To pod szubienicę zaniosę.



UPIÓR.

Zmarłym dawać rosę?
Oderwij jeden palec
i rzuć na pola;
oderwij drugi, ten co malec,
i rzuć na trakt sybirski;
oderwij trzeci i rzuć kapłanom
wszystkich wiar — niech się kłócą,
aż go wszyscy w dół rzucą...
rozumiesz, to już trzy.
Czwarty daj tyranom,
co żądni są krwi,
aby ten palec dał im moc obłudy
i nim wyroki pisali, jak piórem, —
gdy inni głoszą cudy.
A piąty daj ludowi,
i niech zawyje chórem!
Piszczel sam, jak smyk,
rzuć między pejsate miast tłumy,
gdzie wieczny swąd i krzyk...
Smykiem pociągną przez niemców skrzy- [pce
w ponury bas...
Policz, czy wszystkie pięć palców masz?
a będzie wszędy palec Boży!

WIEDŹMA.

Tak wczas — tak wczas!...

UPIÓR.

A weź za to dzwon z wieży
i niech sercem uderzy,
i leć — i leć — i dzwoń,
co wyskoczy koń...
co błyśnie, to dzwoń,
co zagrzmi — to dzwoń!...
Słyszysz?

WIEDŹMA.

Tak wczas, tak wczas!...

(*Upiór wiąże na sznur ramię krzyża i podaje końce sznura wiedźmie*).

UPIÓR.

Lecę od granic do granic,
gdzie stoją słupy z czołami dranic,
a na zachodzie wzmaga się wichr,
u wschodu bram bije grom,
w ten brudny dom
od granic do granic...
a gdy okręcę brudny dom sznurem,
to im poświecę czerwonych kit piórem—
katów kapturem!...

(*Lecą—ramię krzyża wlecze się za nimi, a chorągiewka blaszana na kolumnie krzyża, gdy skrzypnęła, to głuchy zabrzmiał śmiech*).

WIEDŹMA.

Ludu gniew!...

UPIÓR.

Staje się...
i krew... i krew!!!

(Dokończenie nastąpi).

Z sali odczytów.

Odczyt p. Cecylii Walewskiej.

W dniu 26 z. m. odbył się w sali Stowarzyszenia Techników, urządzony staraniem Polskiego Stowarzyszenia Równouprawnienia, odczyt p. Cecylii Walewskiej: „Z dziejów krzywdy kobiecej“. Prelegentka, na podstawie szeregu poważnych studyów naukowych, wykazała tę wielką istotnie krzywdę, jakiej od zarania dziejów świata kobieta ulegała. Między innemi wykazała p. Walewska najnowsze poglądy na okres matrjachatu — dowiodła mianowicie, że nawet wtedy, gdy kobieta w domu i w rodzinie była panią nieograniczoną, nawet wtedy krępowano ją nazewnątrz, niemiała prawa stanowienia o wojnie, wybierania wodzów — nawet pługa i pasterstwa tknąć jej nie było wolno. A jednak ani inteligencyą, ani nawet, jak dowiodły najnowsze badania, siłą fizyczną, nie różniła się od mężczyzny. Starania i troski o los dzieci i domowego ogniska przykuły ją do niego. Pierwszym wynalazcą wszelkich rzemiosł i przemysłu była kobieta, nie wydoskonaliła zaś ich, nie wykazała wyższego polotu, li tylko wskutek dorywczości i niejednolitości swej pracy. Z chwilą wytworzenia się, staraniem kobiet głównie, dostatku i własności, mężczyzna zapragnął jej dla siebie, zapragnął też mieć własne dzieci, któreby dobytek jego obrabiały i w spadku objęły — jest to początek patryarchalnego ustroju, który skrępował zupełnie niezależność kobiety czyniąc ją rzeczą mężczyzny, potem występowały kolejno niesłychane nadużycia i rozluźnienia obyczajów, lub surowość, zakazująca nawet rozmowy między sobą płci odmiennych, surowość, która przerodziła się w zabobon — do dziś jeszcze wśród wielu mniej cywilizowanych ludów trwający, iż kobieta jest stworzeniem nieczystem, a udział jej w pewnych pracach i przedsiewzięciach przynosi nieszczęście. Chrześcijaństwo podniosło kobietę i duszę jej z duszą mężczyzny zrównało, jednakże asceza wieków średnich rzuciła znów klątwę na głowę zdradzieckiej niewiasty, córy Ewy, dziwnie mieszając tę pogardę Ewy z kultem dla Matki Bożej.

Rycerze, trubadurzy i minensengerzy tych czasów otaczali kobietę czcią i wielbili — przez świat przechodziła w aureoli anielstwa — były to jednak tylko złudzenia — literatury, w istocie kobieta była pod władzą męża, brata lub ojca, traktowana wiele razy jak niewolnica.

Czasy rewolucyi francuskiej i deklaracya praw człowieka nie wyzwoliły kobiety z jej położenia — zato popchnęły ją do ciężkiej pracy dla chleba przewroty ekonomiczne XIX wieku. Z wielką siłą argumentacyi określiła prelegentka pracę kobiet — szwaczek, pracownic biurowych i najcięższą robotnic, które niemają chwili odpoczynku i, powróciwszy z fabryki pracować muszą dalej w domu aby opatrzyć i nakarmić. Pomimo tych wszystkich wysiłków, pomimo wielkiej pomysłowości, inicyatywy i energii, z którą kobiety pracują i utrzymują nieraz ze swych, tak marnie opłacanych zarobków, rodzinę — społeczeństwo dotąd nie przyznało im praw człowieka, dotąd krępują je więzy kodeksu w małżeństwie i życiu politycznem, dotąd też praca kobiet nie jest podług wartości i właściwej normy wynagradzana.

Serdecznym oklaskiem dziękowano prelegentce za ten gorący protest przeciw krzywdzie i obronę praw kobiety. Sala była szczelnie zapełniona, co dowodzi, iż tematy poważne bynajmniej nie nudzą naszej publiczności.

W krótkim czasie odczyt p. Walewskiej wyjdzie jako broszura, wydana nakładem Polskiego Stowarzyszenia równouprawnienia.

N. J.

O prawie budżetowem.

Polskie Stowarzyszenie Równonprawnienia stawia sobie za cel obznajmienie kobiet w przystępny a treściwy sposób z prawami i techniką gospodarki społecznej i państwowej. Wybór prelegentów był dotąd zawsze bardzo trafny, najlepsze jednak wrażenie wywarł ostatni prelegent p. K. Kasperski, który w d. 31 z. m. mówił o „Budżecie i prawie budżetowem“. „Niema nic niejasnego w żadnej nauce — niema też rzeczy zatrudnych dla zwykłych umysłów i finansowości“ powiedział kiedyś Leon Bourgeois. P. Kacperski dowiódł tego swoją prelekcyą budżetową. W nadzwyczajnie jasny, dobitny i treściwy sposób przedstawił zarys machiny budżetu państwowego, zaznaczył, iż budżet to stanowi właściwą konstytucyę państw, — tam bowiem, gdzie parlament go uchwala, — parlament faktycznie rządzi, gdyż rząd nic zrobić nie może nie mając od parlamentu sankcyi na ściąganie podatków, następnie przedstawił szkic historyczny prawa budżetowego. Jak wypełniały je różne kraje — w Anglii spotykamy je najwcześniej, bo już w XIII w. W Polsce istniał rodzaj prawa budżetowego w XIV w., we Francyi wprowadzono to prawo w r. 1815, ustalono je w r. 1858 w Prusach w r. 1750, wreszcie w Rosyi w r. 1905.

W każdym z tych krajów istnieją różnice w określaniu prawa budżetowego oraz w sposobie dyskusyi i uchwalania budżetu, Anglia w tym względzie jak i w innych trzyma pierwszeństwo liberalizmem i racyonalnością swego prawa budżetowego. W Rosyi, istnieje dużo ograniczeń o prawie budżetowem. Duma np. decyduje o ściąganiu nowych tylko podatków, nad dawnemi nie dyskutuje zupełnie, takich decyzyi nie można uważać za wystarczający obraz budżetu. W wydatkach zaś liczyć się musi z t. zw. budżetami maksymalnemi: ministeryum wojny, marynarki, etc., zaprowadzonemi dawniej i na przeciąg lat kilku.

Po odczycie wywiązała się ożywiona dyskusya, w której główny udział wzięły członkinie stowarzyszenia, wykazując zadziwiająco dużą znajomość rzeczy w tej kwestyi, co stanowi wymowny dowód zainteresowania się kobiet ekonomią polityczną i zbija zarzut ich „słabego“ na tym punkcie rozumu.

N. J.

Wystawa kart pocztowych.

Bardzo szczęśliwą myśl miało Koło Ziemianek, organizując w Towarzystwie Zachęty wystawę kart pocztowych, specyalnie krajowego wydawnictwa; w ten sposób mamy bowiem dowody oczywiste, iż możemy obejść się bez zagranicznej, a specyalnie pruskiej tandety, a jednocześnie popierać swojską wytwórczość.

Pomiędzy seryami kart wystawionemi obecnie, prym trzymają wydawnictwa galicyjskie; widzimy tu bardzo piękny cykl reprodukcyi z obrazów Chełmońskiego, wydany nakładem p. Raczyńskiego w Krakowie; niemniej estetycznie przedstawiają się pocztówki wydane pod nazwą „Wieliczka“ przez p. Czarneckiego, obejmujące doskonałe kopie z obrazów Aksentowicza, Maleszewskiego, Siemiradzkiego i innych artystów.

Z wydawnictw warzzawskich odznaczają się pocztówki Towarzystwa krajoznawczego, wykonane w zakładach fotochemigraficznych p. Wierzbickiego, przedstawiające malownicze ruiny zamków w naszym kraju; zajmujące w temacie są też pocztówki, wydane staraniem Koła Ziemianek.

W stronie wydawniczej kart widać zatem duży postęp, który zaznaczył się szczególniej w ostatnich czasach, i rokuje jaknajlepsze nadzieje na przyszłość w tej gałęzi przemysłu polskiego.

Wystawa obecna obejmuje też dział projektów na swój szkic pocztówki, niezbyt bogaty jakościowo, śród których sąd konkursowy, złożony z grona artystów-malarzy nagrodą pierwszą odznaczył prace, opatrzone godłem „Na swojską nutę“, drugą zaś—projekt z godłem „kółko“, którego autorem jest p. Franciszek Czekay z Krakowa.

Prócz tego redakcya „Tygodnika Ilustrowanego“ przyznała nagrodę dodatkową, pięknej kolekcyi herbów dawnych województw Rzeczypospolitej.

Z pomiędzy prywatnych kolekcyj wystawionych pocztówek wyróżniają się bardzo artystyczne zdjęcia fotograficzne p. Juliana Jacuńskiego, obejmujące nader efektowną kolekcyę kwiatów, odznaczonych I-szą nagrodą na konkursie fotograficznym, ciekawe zdjęcia pejzażowe oraz szereg zdjęć z obrazów Wł. Nałęcza.

Oddzielną a wytworną grupkę stanowi kilka pocztówek z obrazów tegoż artysty, subtelnie wykonanych w Pradze Czeskiej w zakładach Huśnika.

(sk. st.).

MARYA ROKOSSOWSKA.

Nić Parek.

NOWELA.

(Ciąg dalszy).

— I tak mi, Matko, ciężko, tak bardzo ciężko, że nic im pomódz nie mogę... — kończył cicho, szeptem.

Splecione dłonie opuścił teraz na kolana, głowa zwisła mu na piersi. Powoli mówił dalej:

— To nie tyfus ich pożera — to niedbalstwo, nędza, ciemnota... O, światła, światła, przedewszystkiem im dajcie, a przestaną ginąć jak muchy; — cóż dziś pomoże mikstura, — co pomoże obficie wylany karbol, jeśli zabija ich głód, lub jedzenie nieodpowiednie, i jeśli zdusi ściśnięte powietrze niechlujstwa i zaduch ciasnoty...

— Cierpliwości, Julku, niedaleka może chwila, w której płomień oświaty obejmie szersze masy, i oni przejrzą, zmienią się warunki...

— Tak, kiedyś to może nastąpić, kiedyś hen, w mgłach przyszłości, a my dziś, zdając

sobie sprawę z tego pełnego grozy stanu, stoimy bezczynni i bezradni z opuszczonemi rękoma...

Zapanowała długa chwila milczenia.

Staruszka cicho krzątała się, sprzątając ze stołu. Młody lekarz wpadł w odrętwienie, odblaski płomieni oblewały go migotliwem światłem, ześlizgując się po całej postaci.

Wstrząsnął się, ręką uczynił ruch, jakby odganiając od siebie rój ciężkich myśli, głowę uniósł w górę.

— Kiedy dzieci przyjadą? — spytał innym już tonem, ku matce się zwracając, ciepła nuta uczucia dźwięczała w jego głosie.

— Za cztery dni — w piątek; w sobotę wigilja... — Twarz staruszki rozjaśnił jasny płomień radości.

— Chwała Bogu, tęskno mi za temi smykami! Przywiozą nam z sobą ten prąd młodocianego życia, co nie zna troski, ni ciężkich gniotących myśli. Patrząc na nich i my się rozweselimy, nabędziemy otuchy i nadziei...

— Julku, co tobie? Jakiś ty dzisiaj dziwny...

— Niewiem, ale dziwnie mi smutno... Jakiś kamień sciska mózg i przygniata piersi...

Lecz, widząc stroskaną twarz matki, uśmiechnął się z przymusem i ręką machnął.

— Et, głupstwo, przejdzie! Takie głupie chwile opanowują nas czasem.

Zbliżył się i rękę staruszki do ust podniósł, ona go objęła i głowę ciemną do piersi swej przycisnęła.

Matka i syn długą chwilę pozostali złączeni uściskiem.

Przebudziwszy się nazajutrz, Juljan z trudnością głowę od poduszki uniósł, była jeszcze cięższa niż poprzedniego wieczora, przytem bolała go silnie.

— Za długo spałem, — szepnął, — stąd ta ociężałość w całem ciele. Zimna woda najlepsze na to lekarstwo.

Zerwał się z łóżka, szybko począł się ubierać, lecz obfite zlewanie się wodą nie przyniosło mu ulgi, — członki odmawiały posłuszeństwa — miał wrażenie jakgdyby na głowie sto pudów dźwigał.

Pomimo to cały ranek przepędził w szpitalu, który był przepełniony chorymi. Na obiad zmęczony powrócił, z wysiłkiem powłócząc nogami.

Do ust nie wziął nic prawie, apetytu nie miał najmniejszego.

Matka poczęła niepokoić się na dobre, widziała, że synowi coś dolega, choć ten i teraz jeszcze zaprzeczał temu stanowczo.

Nie pomogły też prośby usilne by odmówił wezwaniu chorych i nie zważał na czekające na niego konie.

— Obowiązek przedewszystkiem, — odparł stanowczo. — Nie wolno mi pieścić się głupstwami; poćóż tu jestem?

Pojechał.

Powrócił wieczorem w stanie podniecenia gorączkowego. Był nienaturalnie ożywiony, mówił dużo, twarz miał rozpaloną, oczy błyszczące jak węgle.

Lecz matka wzięła to za pomyślny objaw dobrego humoru, i obawy poprzednie pierzchły bez śladu.

Trzy dni Juljan Mirecki walczył z nadludzkim wysiłkiem z trawiącą go gorączką. Głowa bolała coraz silniej, myśli rozpierzchały się, nogi ciążyły ołowiem. Bezprzykładną siłą panowania nad sobą chorobę tłumił.

Ani na chwilę nie ustąpił z placówki obowiązku.

Przyjechała wesoła parka rodzeństwa, — jasnowłosy Stach i ciemnooka, podobna do brata starszego, Hela. Z niemi do schludnego mieszkanka wpłynęły całe kaskądy śmiechu i życia, zdawało się, że rozjaśniło się wszystko naokół. Staruszka promieniała szczęściem, widząc wszystkie swe dzieci zebrane przy sobie, — a młody doktór radosnym niby ojcowskim, ciepłym wzrokiem obejmował rodzeństwo, — było też ono jakby jego dziećmi, nad któremi rodzicielską rozpostarł opiekę.

W dzień wigilijny, Juljan z trudnością zwlókł się z łóżka. Do szpitala poszedł, lecz wrócił niebawem, nie miał już siły zrobić zwykłego przeglądu. I po raz pierwszy od chwili, gdy uczuł się niezdrów, zdecydował położyć się. Zaniepokojonym, matce i rodzeństwu, powiedział, że ma lekki ból głowy i potrzebuje parę godzin zupełnego spokoju, lecz do wieczora przejdzie mu to z pewnością.

Przeleżał tak w gorączkowych majaczeniach, aż do ukazania się pierwszej gwiazdy. Myśli jego dziwnie się plątały, — snuły się przed oczyma sylwetki różnorodnego tłumu, tysiączne obrazy, jak w kalejdoskopie kolejno w wyobraźni się zmieniały. Zdawało mu się że znów przeżywa całe swe niedługie życie — a kolejno go otaczali wszyscy blizcy, przyjaciele i znajomi. Jedną blizką istotę czuł przy sobie nieodstępnie, — swoją Jankę jasnowłosą... zdawała się nad nim nachylać, coś do niego mówić, miękką rączką gładzić po czole i twarzy.

Młody człowiek nie zdawał sobie sprawy z tego co się z nim działo, czuł że jest mu dobrze, ciepło... zdawał się cały kąpać w płomieniach rozpalających. Powiek nie mógł tylko podnieść, ciążyły mu one ołowiem, — i nogi także ciążyły jakby je coś ugniatało boleśnie...

Matka i siostra musiały kilkakrotnie poruszyć go i przemówić, zanim się ocknął i zrozumiał o co idzie.

— A tak, wstać trzeba, wigilja... — tak mu się nie chce, tak trudno się ruszyć...

— Wstawaj Julku, masz list od Janki! — zaszczebiotał głos siostry.

List od Janki? — zerwał się szybko, przytomność mu wróciła.

Machinalnie poprawia ubranie i przeczesuje przed lustrem włosy.

(Dokończenie nastąpi).

Wyższa szkoła gospodarstwa domowego.

Od paru lat egzystuje wyższa szkoła gospodarstwa domowego p. Marty Norkowskiej, pierwsza próba stworzenia u nas szkoły tego typu, urządzonej według wszelkich wymagań hygieny i postępu w gospodarstwie — połączonych z etyką i komfortem, kosztowała wiele pracy i dużego nakładu kapitału. Wszędzie zagranicą zakład tego rodzaju byłby odznaczony pierwszemi nagrodami, a co najważniejsza, nie mógłby pomieścić zgłaszających się uczennic.

U nas jest niestety inaczej, internat swój, urządzony z niezmiernem staraniem i kosztem, musiała w r. b. szkoła zwinąć z powodu zbyt małej ilości pensyonarek. Obecnie uczennice uczęszczają tylko jako przychodnie, w godzinach rannych od 9—12 odbywa się teoretyczny i praktyczny kurs kucharstwa i cukiernictwa, z pomocą i pod kierunkiem p. Norkowskiej oraz dwóch nauczycieli-kucharzy i cukiernika, uczennice przyrządzają potrawy, wydawane potem jako obiady stołownikom przychodnim i na miasto, oraz ciasta, kremy i t. p. na zamówienia. Trudno pomyśleć o doskonalszym komforcie „kuchennym" niż w tym zakładzie. Olbrzymia sala z dwiema kuchniami zwyczajną i gazową, ściany wykładane kafelkami niebieskiemi, podłoga kamienna, pod ścianami szeregi szaf z przyprawami spiżarnianemi, na środku stoły; obok tej sali druga, gdzie przygotowują się wyroby cukiernicze, dalej, wielki pokój do rozbierania mięsa z olbrzymiemi stołami i rysunkami sposobu rozbierania mięsa, dalej, mała podręczna lodownia dla drobiu i basen do żywych ryb, w końcu, piekarnia — wielki piec z dziesiątkami otworów-piecyków, termometrów, oraz przyrządów do wentylacyi i regulowania temperatury.

Oprócz gotowania, uczą się panienki też prasowania, kroju i robót ręcznych, jest to tak zw. kurs popołudniowy. Opłata za godziny ranne wynosi rb. 10 miesięcznie lub 25 kwartalnie, za kurs popołudniowy dopłaca się rb. 5 miesięcznie. Nauka trwa od 3 ch miesięcy do roku, stosownie do uzdolnienia i stopnia wydoskonalenia, jaki uczennica chce osiągnąć.

Szkoda i wielka szkoda że społeczeństwo dotąd tak mało interesuje się tym doskonałym zakładem. Szkoła p. Norkowskiej, dla tych, co zapoznali się z nią bliżej, jest wzorem doskonałego typu. Tem dziwniejszą jest obojętność dla niej ogółu kobiet. Jakkolwiek bowiem praca zawodowa, którą każda dziś niemal kobieta zająć się musi, nie pozostawia jej tyle co dawniej czasu dla prac gospodarczych, to jednak podstawowe wiadomości o kuchni, pożywieniu i technice gospodarczej są dla każdej gospodyni domu niezbędne, a tu nabyć je można łatwo, małym nakładem czasu i pieniędzy. Dla wielu zaś kobiet szkoła taka może być szkołą fachową, dla kucharek, gospodyń, lub pań, chcących zarabiać stołowaniem, co tak często zdarza się dziś w Warszawie.

Byłoby też niezmiernie do życzenia aby pensye nasze wprowadziły kurs u p. Norkowskiej do swego programu. Jeśli często później, zajęta pracą fachową, niemoże kobieta przejść nauki gospodarstwa, to czas dla tej nauki powinien się znaleźć na pensyi. Pierwszy krok w tym kierunku uczyniła przełożona p. Porazińska. Uczennice p. P. przechodzą w szkole p Norkowskiej popołudniowy kurs teoretyczny o własnościach produktów, o sposobie ich przyrządzania i t. p. Kursy

takie miały być otwarte dla wszystkich przychodnich, nie zapisała się jednak dostateczna liczba.

Mówimy dużo o reformach gospodarstwa domowego, narzekamy na służbę, irytujemy się i denerwujemy źle prowadzonym domem, a nie staramy się poznać sposobu ulepszonego gospodarstwa, hygieny przyrządzania potraw, nie popieramy szkoły, która dopomogła by nam nie jedno zło z naszego systemu domowego usunąć.

Szkole p. Norkowskiej należy się zupełnie szłuszne poparcie, na razie najżywotniej uczynićby to mogły pensye za przykładem p. Porazińskiej, oraz panie ziemianki, jako najwięcej zawodowo zajmujące się gospodarstwem.

N. J.

Chwila bieżąca.

— Prace podkomisyi drugiej w Dumie państwowej, tyczące się nietykalności osobistej szlachty opracowane w następującym porządku: za jakie skaleczenia i poranienia i komu ma być udzielona pomoc dla ofiar teroru? Komu i w jakim systemie zapomoga ma być obliczona? Kto ma kierować obliczeniem zapomogi i jaka ma być ustanowiona norma?

— Podkomisya reform sądowych ukończyła obrady nad prawami autorskiemi, o prawie wykonywania utworów dramatycznych, muzycznych i muzyczno-dramatycznych i t. d.

— Komisya wyznaniowa obradowała nad art. 4 prawa o wyłącznym prawie jednego kościoła prawosławnego, o nakłanianie inowierców do przyjęcia prawosławia. Propozycya ministeryum usunięcia tego artykułu, nie odniosła skutku, gdyż głos prezesa, biskupa Eulogiusza przeważył, więc artykuł powyższy pozostaje. Większość oświadczyła się za zmianą tego artykułu, za przyznaniem swobody propagandy wszystkich wyznań — lecz nie wśród prawosławnych.

— Własny projekt agrarny wnosi do Dumy grupa posłów, przeważnie duchownych prawosławnych, którzy nie podpisali projektu agrarnego włościan bezpartyjnych.

— W sprawie 25 oskarżonych o zorganizowanie włościańskiego bractwa, mającego na celu zburzenie własności ziemskiej i o napad i zabójstwo niejakiego Rusanowa, sąd wojenny w Ziemlance skazał 9 na karę śmierci, pozostałych na bezterminowe roboty ciężkie.

— Koło polskie w Dumie powstrzymało się od głosowania w sprawie nauczania powszechnego, co wywołało nieprzychylne manifestacye przeciw Polakom.

— Na porządku dziennym, w rozprawach, toczących się obecnie w Dumie, dyskusye nad projektem ustawy kredytów na potrzeby oświaty ludowej, w sumie 6,900,000 rubli.

— Na zjazd stowarzyszeń spożywczych w Moskwie, przybyli również Żydzi, jako delegaci towarzystw współdzielczych. Nakazano Żydom natychmiastowy wyjazd, jako niemającym prawa przebywać w Moskwie.

— Wywłaszczenie Polaków z ziemi otrzymało sankcyę najwyższą, przez podpis cesarza Wilhelma i zostało ogłoszone jako prawo obowiązujące.

— Studenci „prawdziwie rosyjscy“, w Petersburgu, udali się z prośbą do ministra Szwarca, tyczącej się normy procentowej żydów, na uniwersytetach rosyjskich, prosząc o jej przestrzeganie nadal.

— Interpelacye prawicy w sprawie autonomii Finlandyi, nie tylko nie poprawiają stosunków rosyjsko finlandzkich, lecz wywołują coraz większe rozgoryczenie.

— Cesarz Wilhelm spotkał się w Wenecyi z królem włoskim, który podpłynął na gondoli do „Hohenzollerna“, następnie monarchowie, wraz z ministrami, udali się dla zwiedzenia dzieł sztuki, do Museo Correr'a. Włoska zaś para królewska, wybiera się we wrześniu do Poczdamu, dla oddania wizyty cesarzowi Wilhelmowi.

— W tych dniach w Petersburgu dziennikarze i literaci urządzili bankiet na cześć ex duchownego Pietrowa, na który zebrało się przeszło 300 osób. Naczelnik miasta skazał na grzywny inicyatrrów bankietu: Potapenkę na 1000 rb. kary, Gumanowa na 500 rb.

— Na górnym Szląsku następuje umowa między katolicką partyą centrum, a Polakami, w celu przeprowadzenia wspólnie wyborów do sejmu pruskiego. Trzy mandaty przyznają Polakom.

— W parlamencie niemieckim koło polskie domagać się będzie ankiety, złożonej z członków rządu i parlamentu, dla zbadania stosunków politycznych ludności polskiej w rzeszy niemieckiej.

— W czwartek d. 9 b. m. pr. Wł. M. Kozłowski wygłosił 3-ci odczyt z cyklu „Indywidualizm współczesny“. Treść odczytu: Fryd. Nietsche.

SPROSTOWANIE.

W N-rze 14-ym w artykule „Trochę smutnych refleksyi po wesołym karnawale“, w szpalcie II-ej, — zamiest „wrota reformy“ — powinno być: „wrota zagłady“.

Administracya nasza nabywa „Bluszcz“ N-r 3, 6 i 7 płacąc po 25 kop. za egzemplarz

Treść numeru:

OGŁOSZENIA.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Piotr Laskauer.** Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa, Nowy-Świat 41.